

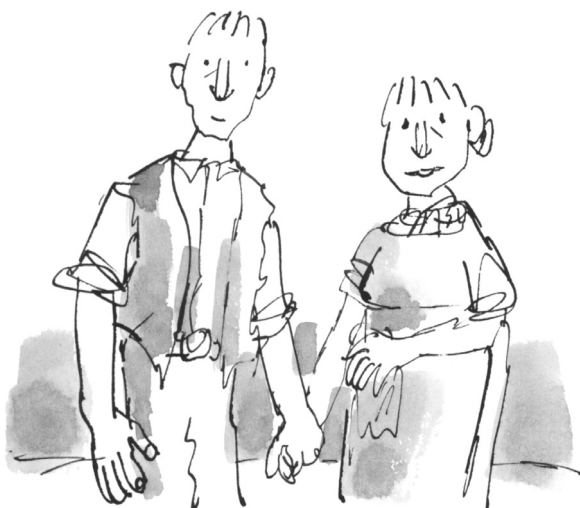
Oto Charlie



Ta oto para starszków to mama i tato pana Bucketa.
Nazywają się dziadek Joe i babcia Josephine.



A ta para starszków to mama i tato pani Bucket. Oni nazywają się dziadek George i babcia Georgina.



To jest pan Bucket. A to pani Bucket.

Państwo Bucketowie mają synka, który nazywa się Charlie Bucket.



Oto i on.

Bardzo mi miło. To nam jest bardzo miło. Ależ to
mnie jest bardzo miło.

Charlie cieszy się, że może was poznać.

Cała ta rodzina – sześćcioro dorosłych (przeliczcie!)
i Charlie – mieszkała w niedużym drewnianym domu-
ku na obrzeżach wielkiego miasta. Jak na tyle osób to



był strasznie mały dom, więc życie rodziny Bucketów naprawdę nie należało do łatwych. W całym domu były tylko dwa pokoje i jedno łóżko. Łóżko przeznaczono dla czwórki staruszków, bo byli oni ludźmi zmęczonymi życiem. Byli tak zmęczeni, że w ogóle nie wstawali z łóżka.

Dziadek Joe i babcia Josephine umościli się z jednej strony łóżka, a dziadek George i babcia Georgina z drugiej.

Pan i pani Bucketowie oraz Charlie spali w drugim pokoju na materacach, na podłodze.

W lecie dało się w zasadzie wytrzymać, ale w zimowe noce po podłodze śmigały lodowate podmuchy mroźnego wiatru i to było okropne.

Nie było nawet mowy o tym, żeby kupić lepszy dom, ani o tym, żeby sprawić rodzinie drugie łóżko. Bucketowie byli na to o wiele za biedni.

Pan Bucket jako jedyny w rodzinie miał pracę. Pracował w fabryce pasty do zębów, gdzie od rana do wieczora siedział w jednym miejscu i nakładał zakrętki na tubki, które właśnie napełniono pastą. Ale zakręcacze tubek z pastą do zębów nie zarabiają zbyt wiele, więc biedny pan Bucket, choćby nie wiem jak szybko pracował, zarabiał tak mało, że nie stać go było nawet na połowę rzeczy potrzebnych tak dużej rodzinie. Nie

zarabiał nawet na to, żeby kupić coś porządnego do jedzenia! Posiłki codziennie wyglądały tak samo: na śniadanie chleb z margaryną, na obiad ziemniaki i kapusta, na kolację kapuśniak. Tylko w niedzielę było trochę lepiej. Wszyscy w utęsknieniu czekali na niedzielę, bo jedli wprawdzie dokładnie to samo, ale można było dostać dokładkę.

Bucketowie nie umierali rzecz jasna z głodu, ale wszyscy – dwóch dziadków, dwie babcie, tato Charliego, mama Charliego, a zwłaszcza sam Charlie – całymi dniami mieli uczucie straszliwej pustki w brzuchu.

Najciężej odczuwał to mały Charlie. I chociaż tato i mama często obywali się bez swojej porcji obiadu czy kolacji, żeby on mógł się najeść, to i tak było za mało dla rosnącego chłopca. Charlie rozpaczliwie potrzebował zjeść coś bardziej sycącego i pożywne niż kapusta i kapuśniak. A przysmakiem, za którym tęsknił bardziej niż za czymkolwiek innym, była... CZEKOLADA.

Idąc do szkoły, chłopiec widział wielkie bloki czekolady wystawione w witrynach sklepów, zatrzymywał się przed nimi, przyciskał nos do szyby, a ślinka leciała mu jak oszalała. Oczywiście przez cały dzień ciągle widział, jak inne dzieci wyjmują z kieszeni tabliczki kremowej czekolady i pożerają je, i to była dla niego po prostu tortura.

Tylko jeden jedyny raz w roku, w swoje urodziny, Charlie mógł posmakować czekolady. Cała rodzina przez okrągły rok oszczędzała na tę okazję i kiedy nadchodził ten wielki dzień, Charlie dostawał w prezencie niewielką tabliczkę czekolady, która była przeznaczona tylko dla niego. I za każdym razem, kiedy w cudowny urodzinowy poranek otrzymywał swoją czekoladę, chował ją starannie w takim swoim drewnianym pudełku i strzegł jej, jakby to była sztabka najprawdziwszego złota. Przez pierwszych parę dni tylko sobie na nią popatrywał, ale nawet nie śmiał jej tknąć. Aż wreszcie, kiedy już nie mógł wytrzymać, odrywał maleńki kawałeczek papierka na rogu, tak żeby odsłonił się maleńki kawałeczek czekolady, i ten kawałeczek odgryzał – dosłownie tyle, by poczuć, jak cudowna słodycz rozplywa mu się w ustach. Następnego dnia odłamywał kolejny kawałeczek i znowu przez moment miał niebo w gębie. I tak dalej, i tak dalej. Takim sposobem mała tabliczka czekolady wystarczała mu na ponad miesiąc.

Ale nie powiedziałem wam jeszcze o pewnej strasznej rzeczy, która skazywała małego miłośnika czekolady na straszliwe tortury. Było to coś o wiele gorszego niż widok bloków czekolady w witrynach czy innych dzieci objadających się czekoladowymi pychotami na

jego oczach. To było coś tak strasznego, że aż trudno to sobie wyobrazić, a mianowicie:

W tym mieście, i to dosłownie na wprost domku, w którym mieszkał Charlie, znajdowała się **OGROMNA FABRYKA CZEKOLADY!**

Możecie to sobie wyobrazić?

A nie była to bynajmniej jakaś zwykła wielka fabryka czekolady, tylko największa i najśłynniejsza na całym świecie: **FABRYKA WONKI**, własność niejakiego pana Willy'ego Wonki, największego w historii wynalazcy i wytwórcy czekolady. Wicie, jakie to było niesamowite, fenomenalne miejsce? Do fabryki wiodły potężne żelazne bramy, otaczał ją olbrzymi mur, z kominów wydobywały się kłęby dymu, a ze środka dochodziły dziwne, świszczące dźwięki. A poza murem powietrze na kilometr było przesycone głębokim, smakowitym zapachem topionej czekolady!

Dwa razy dziennie, na trasie do szkoły i z powrotem, mały Charlie przechodził pod bramami fabryki. I za każdym razem, zbliżając się do nich, zaczynał iść bardzo, bardzo wolno i unosił w górę nos, żeby się dobrze zaciągnąć cudownym czekoladowym aromatem.

Och, jak on go uwielbiał!

I jak marzył o tym, żeby kiedyś wejść do fabryki i zobaczyć, jak tam jest w środku!